

Sejm zakończył dwudniowe obrady

Od 22 lipca br. zniesienie stanu wojennego Izba uchwaliła ustawę o amnestii

WARSZAWA (PAP) — Sejm PRL zakończył 21 bm. dwudniowe plenarne obrady, które zamykają niezwykle trudny dla narodu i państwa okres, a jednocześnie otwierają nowy etap służący osiągnięciu pełnej normalizacji i stabilizacji. W 39 rocznicę pamiętnych lipcowych dni, na forum naszego parlamentu zapadły oczekiwane decyzje o niezwykle doniosłym znaczeniu dla teraźniejszości i przyszłości Polski i Polaków, dla programu socjalistycznej odnowy, dla porozumienia narodowego.

Wczoraj o godz. 8.30 Sejm wznowił plenarne obrady pod przewodnictwem wicemarszałka Piotra Stefańskiego. Na sali — Wojciech Jaruzelski i Henryk Jablonski. Przystąpiono do punktu trzeciego porządku obrad, w którym głos zabrał poseł — przewodniczący Zygmunta Surowieca (ZSL okr. wv. Kałisz) przedkładając Izbie sprawozdanie Komisji Spraw Wewnętrznych i Wymiaru Sprawiedliwości oraz Prac Ustawodawczych o rządowym projekcie ustawy o szczególnej regulacji prawnej w okresie przezwycięzania kryzysu społeczno-ekonomicznego oraz o zmianie niektórych ustaw.

Zastosowane przed 18 miesiącami nadzwyczajne środki zapobiegły całkowitemu rozpadowi gospodarki naszego kraju, jego struktur, stwarzając warunki dla ochrony społecznej — powiedział Z. Surowiec. Nie zniknęły jednak całkowicie niebezpieczeństwa, mogące zakłócić i opóźnić proces normalizacji. Ciężkie jeszcze trwa kryzys społeczno-gospodarczy, którego ostateczne przezwycięzenie pozostaje najbliższą potrzebą. Proponowana ustawa powinna sprzyjać osiągnięciu celów i założeń Narodowego Planu Społeczno-Gospo-

darczo. Pełnemu wdrażaniu reformy gospodarczej, umocnieniu porządku publicznego i dyscypliny społecznej oraz poszanowaniu prawa. Projekt ustawy przewiduje zarówno uregulowania o charakterze prawnym, które ma obowiązywać do 31 grudnia 1985 r., jak i — trwałe, polegające na znówelizowaniu niektórych ustaw. Wśród zaproponowanych w projekcie ustaw środków, znakomita ich większość ma aspekty społeczno-ekonomiczne, a niektóre tylko podwyższają wymagania ochrony zasad praworządności i porządku publicznego, co także jest niezbędne dla prawidłowej realizacji przewidzianych kierunków osiągnięcia równowagi ekonomicznej.

pracy może być także nałożony obowiązek zatrudnienia ludzi niepełnosprawnych lub pozostających w trudnych warunkach materialnych.

Wobec powszechnie krytykowanego zjawiska niepełnego wykorzystania możliwości produkcyjnych przemysłu przewidziana została możliwość nałożenia obowiązku zawierania umów o wykonanie wyrobów lub świadczenie usług, szczególnie ważnych dla zaspokajania potrzeb ludności.

Powszechnie krytykowany system przywilejów branżowych — podkreślił Z. Surowiec — uzasadnia zawieszanie przyznawania nowych lub zwiększenia zakresu istniejących w tym względzie deputatów i innych świadczeń w naturze.

Szczególnie istotne znaczenie mają postanowienia, które pozwalają Radzie Ministrów na wprowadzenie zakazu podwyższania cen, zwłaszcza umownych, których nieuzasad-

ciąg dalszy na str. 2

Dobro socjalistycznej Ojczyzny należy uznać za wspólne, jedyne i najwyższe

Przemówienie W. Jaruzelskiego w Sejmie

OBYWATELU MARSZAŁKU! WYSOKI SEJMIE!

Ziemie, zanim wyda plon, rozdziela się plugiem. Narodziłom nowego życia towarzyszy zawsze krzyk i ból. Tak i naszej Ojczyźnie przyszło przeżyć ciężką próbę, zdać przed historią kolejny egzamin.

Trwał przez 585 długich, trudnych dni. Zdawał go codziennie cały naród — robotnik i żołnierz, chłop i milicjant, nauczyciel i działacz. Każdy w własnym sumieniu — wobec Polski Tej, która jest i tej, która będzie.

Tych dni nikt z narodowych dziejów nie wykreślił. Odkryły ludzkie twarze. Przyntosy i ludzkie lzy. Leżę narodziłom i państwu polskiemu dąży do dobrze bezennego, ocalenie. Stworzył warunki dla odrodzenia. Może te wielkie słowa nie wszyscy dziś w pełni pojmują. Są i tacy, którzy ich pojąć nie chcą. Kiedy się za nie nie odpowiada, łatwo było recydenstem, kibicem w białych rękawiczkach. Znaczenie trudniej powiedzieć; nie! Ani kroku dalej, bo dalej tylko przepaść.

Nie o władzy jedynie, nie o siałach zbrojnych tylko mówię. Mówię o tych, którzy byli i pozostają solą ojczyźnej ziemi — o polskiej klasie robotniczej, o chłopach polskich, o ludziach prawych, rozumnych i pracowitych. To oni te bitwę wygrali. Oni udzieliłi surowej lekcji „gębom za lud krzyczącym”. Najpierw tym, którzy wierność robotniczej sprawie zamienili na arogancję władzy. Potem tym, którzy kosztem narodu i państwa zamierzali cofnąć zegar historii, obalić socjalizm.

Decyzja o wprowadzeniu stanu wojennego była aktem obronnym, była koniecznością. Decyzja o jego zniesieniu jest świadomym, dobrowolnym wyborem.

Obie są dziełem Polaków, jeden tylko cel mają na względzie: dobro suwerennej, socjalistycznej Rzeczypospolitej.

WYSOKA IZBO!

W ciągu ostatnich lat powstały i okrzepły w Polsce dwie silne zapory. Pierwsza — przeciw wrogom socjalizmu — przeciw tym, którzy, — przeciw tym, któ-

ciąg dalszy na str. 3



Obrady Sejmu PRL — fragment sali obrad.

Bywają takie tygodnie, że zaproszenie przychodzi z zarożeniem. Z zebrania trzeba jechać na zebranie. Zależy jak kto na to patrzy. Dla Haliny Krakówko jest to zaszczyt, że kobieta wiejska może znaleźć się wśród profesorów, doktorów, inżynierów. Trzeba się taka urodzić, żeby lubić pracę społeczną. Kontakty z ludźmi i jazda na motorze — to jej dwie pasje.

Przebywanie wśród ludzi rozwija człowieka, dyskusje — jeśli cokolwiek z nich wynika — służą bliźnim, jej przynoszą satysfakcję. Jeżeli już jeździ na zebrania, to nie po to, żeby podpisać delegację. Jeżeli dlatego, by mówić, jak jest na gospodarce.

Nie mówię dla oklasków, mówię to, co czuję. Jestem ze wsi, reprezentuję wieś o prawa rolnika zabiegać będę zawsze i wszędzie, jeżeli trzeba — pojedę nawet do ministra.

Na wsi nie ma gazu, nie można kupić kuchenki elektrycznej, nawet grzałkę trudno dostać. Ktoś się zdarzy, trzeba rozpałać ogień, żeby zaparzyć herbatę. Much w tym roku całe roje — gdzie kupić „Muchozol”? Gdy tak sobie na którymś z posiedzeń Prezydium Rady Wojewódzkiej PRON ponarzekają,

odezwał się ktoś, kto pamiętał wieś sprzed lat. Dla niego teraz w rolnictwie — raj. A przecież w mieście też bywało inaczej, też było trudno, też walczyliśmy, żeby było lepiej. Ale nikt z rolników nie zarzuca, że mieszczyzna wylegają się.

Przykro mi, wychodzę stad z bólem serca — powiedziałam — my tak ciężko pracujemy, a niektórzy chcieli by, żebyśmy z tej pracy nie mieli.

Dzisiaj na przykład, pani Halina wstała o wpół do piątej, wdoiła sześć krów,

Nie mówię dla oklasków

Robotnicy naprawdę ciężko pracują. Halina Krakówko sama zwiadała zakład obróbki drobiu. Jak tam ciężko stać przy taśmie w gumowych butach i niskiej temperaturze. Albo w cukrowni w Łapach — ten szum, huk, hałas. Przez tydzień prawie miała to w uszach. Dlatego nie darowała oponentowi, zwłaszcza, gdy inni poparli go oklaskami.

pojechała do Drohiczyzna, zrobiła zakupy, o pierwszej już ugotowała obiad. Krakówkowie budują nowy dom, teraz pracuje dwóch wspaniałych murarzy, maż pomaga, ale był okres, że było po pięciu i siedmiu fachowców. Trzeba ich było wykarmić, mimo że na gospodarce dokupywano się mięso. Wysokie fizyczne wymagania uzupełnienia kalorii.

U siebie w gminie, w Drohiczyźnie, jest prawie instytucja. Zasiada w Miejsko-Gminnym Związku Kółek i Organizacji Rolniczych, przewodniczy Kołu Gospodyń Wiejskich w Sieniewicach, prowadzi wiejski zespół teatralny. Są takie tygodnie, że tylko



1944-1983

Droga do międzynarodowego uznania

W życiu każdego narodu bywają chwile, które urastają do rangi symboli. Odwołują się do nich kolejne pokolenia, chcą dać wyraz swemu przywiązaniu do narodowej historii i tradycji.

Taką szczególną chwilą w bogatych dziejach naszego narodu stał się niewątpliwie dzień 22 maja 1945 r. Wtedy to nad gruzami berlińskiej twierdzy — ostatniego bastionu hitlerizmu — obok czerwonych sztandarów radzieckich załapały biało-czerwone sztandary.

Były one symbolem braterswa i broni żołnierzy polskich i radzieckich, które zrodziła się we wspólnym walce z hitlerowskim nazizmem, a następnie przekształciła się w trwały sojusz obu państw i narodów. Były wreszcie potwierdzeniem obecności odrodzonego państwa polskiego w politycznych realiach europejskich. Obwieściły światu prawo Polski do powrotu na jej przastare piastowskie ziemie, nad Bałtyk, Odre i Nyse Łużycką.

Akt dziejowego przełomu, który umożliwił realizację tego prawa dokonał się znacząco w dniu 21 lipca 1944 r. w wyniku osiągniętego porozumienia między Krajową Radą Narodową, a działającą w ZSRR Związką Patriotów Polskich, na pierwszym wyzwolonym skrawku ziemi powstała Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego. W historycznym Manifestie do narodu z 22 lipca formułuje on podstawowe zasady ustroju wewnętrznego

oraz polityki zagranicznej odrodzonego państwa. Zawiera w nich wypracowaną przez postępowe siły narodu koncepcję naszej państwowości. Wiąże sprawiedliwy ustrój społeczny z polską racją stanu, bezpieczeństwem Polski w jej etnicznych granicach, z sojuszem i przyjaźnią z ZSRR, przysłą liczącą się pozycją kraju w Europie i z wolą szerokiej współpracy ze wszystkimi państwami koalicji antyhitlerowskiej.

Pierwszym krokiem PKWN w płaszczyźnie międzynarodowej było zwrócenie się do państw koalicji z zapewnieniem, że Komitet uważa za swe nadrzędne zadanie wzmożenie walki narodu polskiego z najzjadliwymi i najwładzniejszymi w tym czasie siłami nacjonalistycznymi w duchu przywrócenia i ściślego współdziałania. Od sierpnia 1944 r. rząd radziecki wyraził gotowość wymiany przedstawicieli dyplomatycznych.

Poparcie ZSRR dla PKWN, a następnie dla Rządu Tymczasowego otwiera trudny etap walki o międzynarodowe uznanie nowej władzy i państwa. Niezwykle istotnym momentem na tej drodze stały się zawarty już 26 lipca 1944 r. w Moskwie polsko-radziecki układ, regulujący wzajemne stosunki między radzieckim dowództwem wojskowym a administracją polską na wyzwolonych ziemiach.

Jedną z najważniejszych batalii związanych z wkroczeniem młodego państwa na arenę międzynarodową stoczyła polska dyplomacja o udział w pracach przygotowawczych, dotyczących utworzenia Organizacji Narodów Zjednoczonych. Negatywne stanowisko państw zachodnich w tej sprawie zostało przełamane dopiero podczas Konferencji Zatożycielskiej w San Francisco. Podjęta przez uczestniczące kraje decyzja umożliwiła podpisanie przez przedstawicieli Polski Kartę Narodów Zjedno-

zonych. Kraj nasz stał się jednym z 51 członków założycieli ONZ.

Wyraźnie zaznaczyła się obecność Polski na arenie międzynarodowej podczas konferencji w Poczdamie, gdzie zdecydował się przyszy kształt terytorialny powojennej Europy. Brak zgody między Wielką Trójką co do przebiegu zachodniej granicy naszego kraju (sprzeciw Churchill) spowodował, na wniosek Stalina, poparty przez Trumaną, zaproszenie przedstawicieli rządu polskiego na konferencję w celu przedstawienia stanowiska Polski. Fakt ten również ma rangę symbolu. Wyraża się nie tylko obecnością Polski w tym historycznym wydarzeniu, Osiągnięciem najważniejszym było to, że właśnie w Poczdamie, dzięki stanowczemu poparciu ZSRR, z którym łączony Polscy wzięci podpisaniem w kwietniu 1945 r. układu sojuszniczego, uzyskaliśmy ostateczne potwierdzenie swych praw do ziem zachodnich i północnych.

Aktywne zaangażowanie naszego kraju w całym okresie powojennym w rozwiązywanie najważniejszych problemów europejskich, zwłaszcza dotyczących bezpieczeństwa międzynarodowego i pokoju stały się źródłem autorytetu Polski w Europie i w świecie. Te wysoka pozycję umocnił nasz udział w skoordynowanej w ramach Układu Warszawskiego polityce pokoju krajów socjalistycznych. Dziś, kiedy w następstwie wewnętrznych trudności i restrykcji państw NATO wobec Polski a także gwałtownego pogorszenia się sytuacji na świecie nasza pozycja nieco osłabła, zwrócić uwagę należy na to, że w odwołujemy się do pryncypów polskiej polityki zagranicznej, zawartych w Manifestie Lipcowym. I w oparciu o nie podejmujemy dziś trud odbudowy autorytetu państwa w społeczności międzynarodowej.

ROBERT CZERWIŃSKI

Rozkaz specjalny ministra Obrony Narodowej

WARSZAWA (PAP) — W związku z uchwałą Rady Państwa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej znosząca stan wojenny, minister Obrony Narodowej wydał w dniu 22 lipca 1983 r. rozkaz specjalny.

W rozkazie wysoko oceniono udział żołnierzy w dziele ocalenia ojczyzny, obrony bytu, narodu i państwa, spokoju iładu publicznego przed atakami wrogów socjalizmu, zotuziacych Po-

„Wasza postawa — czytamy w rozkazie — skojarzona z wysiłkiem ludzi pracy, wszystkich patriotycznych sił narodu, pozwoliła obronić linie socjalistycznej odnowy, przegrodzić drogę nacjonalistycznej rewolucji, zapobiec katastroficznemu gospodarczemu ocalić dobre imię Polski w oczach narodów świata”.

ciąg dalszy na str. 4

25 radiowych lipców

Siano w oponach i wieża TV



A pierwsza własna audycja? Prawde mówiąc, a początkowo nie o tym radiu nie wiedziałam. Dopiero po pół roku otrząskalem się trochę ze wszystkim. Wiedziałam, że muszę wykazać się czymś pozytywnym na początku pracy.

To „pozytywne” to było słuchowisko pt. „Przyjaciele” (człowiek spijający na ławce w parku i ptak), emitowane również w anenie ogólnopolskiej. Potem zaczęły się audycje „Obłomow” Gonczarowa, „Tajfun” Conrada w reżyserii i z udziałem znakomitości białostockiego teatru, Stanisława Jaskowskiego, który za te rzeczy otrzymał I grupę reżysera radiowego. Efekt znakomicie układającej się w tamtych czasach współpracy radia i teatru.

Zespół. — Byliśmy jak jedna rodzina i jak wojsko leżące w jednym miejscu, gdzie obowiązywała zasada: jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Nie pozwoliliśmy nikomu skrzywdzić. Przeciwnie, robiliśmy wszystko, żeby ułatwić każdemu życie. Byli tacy wspaniali ludzie jak, niezwykli już redaktor Czesław Szmaniński od spraw rolnych, redaktor Jerzy Przyłucki od muzyki i główny inżynier Zdzisław Olszewski. Znakomity fachowiec, cudowny człowiek. Kiedy po objęciu radia wyszedłem z hasłem budowy pomnika 1000-lecia Państwa Polskiego w postaci obiektów PR i TV, on właśnie bardzo mi pomagał.

Powołano społeczny komitet budowy, na czele którego stanął Arkadiusz Łaszczyk. Red. Zygmunt Brzozowski został sekretarzem komitetu — Myślałem o rozgłoszeniu radiowym, ale społeczeństwo chciało mieć telewizyjny, więc zaczęliśmy od niej. Społeczny trud nie poszedł na marne. W ciągu dwóch lat wybudowaliśmy w Krynicach za Białymostkiem ośrodek telewizyjny. Elektrownia zrobiła nam za pół darmo stację „trafo” i nawet drogę wybudowaliśmy w czynie społecznym. Cały obiekt kosztował wtedy 55 mln złotych. W 1961 roku nadano pierwsze programy telewizyjne z białostockiego obiektu.

No i co, władze centralne skomentowały w tamtych czasach całą rzecz niekorzystnie dla miasta: mianowicie: Białostok robił prywatę. Dalejsze konsekwencje tej „prywaty” sfinalizowane zostały w postaci obecnego obiektu Rozgłośni o kubaturze 13 tys. m sześc. Na jego budowę red. Brzozowski przekazał ze społecznych składek około 12 mln zł. Niestety, nikt inicjatora „prywaty” nie zaprosił na uroczystość wnurowania kamienia węgielnego, a kiedy zgromadziły się fanfary podczas przecinania wstęgi w nowym obiekcie, nikt również nie wymienił jego nazwiska.

A przecież — wspomina dzisiaj red. Brzozowski — gdyby nie ten społeczny komitet, być może, nie byłoby tego obiektu. Wiele obiektów jest. Redaktor Brzozowski, który w roku 1971 przeszedł na emeryturę, nadal pracuje w tym samym miejscu. Charakterystyczny głos często udaje się wyłapać na antenie ogólnopolskiej. Ten lipiec, a.d. 1983 jest 25 lipcem w radiowej pracy jednego z najbliższych białostockich dziennikarzy.

KRYSTYNA KONECKA

— Proszę pana — rozpoczyna bardzo rzeczowo — 70 proc. swego czasu poświęcam rolnictwu. A rolnictwo teraz to wiadomo: żniwa, a żniwa to znów wiadomo: kwestia sznurka. Ale oddałam tę sprawę w ręce samorządu wiejskiego — i uśmiecha się zadowolona z pomysłu. — Tak zatem na miasto pozostaje mi zaledwie 30 proc. czasu mojego urzędowania. Co mi się udało zrobić w ciągu sześciu lat mojego tu administrowania? — sama sobie stawia to pytanie, a potem zaczyna wylizywać: — po pierwsze ujęcie wody

— w ogóle wodociąg miejski, następnie przygotować dwie parcely pod budownictwo indywidualne, jedną na 17 działek, drugą jeszcze w stadium organizacji, na 50; rozpocząć budowę pierwszego bloku spółdzielczego w mieście, a dalej: pawilon handlowy, restaurację z częścią hotelową na 30 miejsc.

— Ale lista tego, czego nie udało się zrealizować bądź co zaledwie zostało rozpoczęte, jest o wiele, wiele dłuższa. Stadion, dworzec PKS, kino, strażnica, ulice które nie zawsze a w każdym razie — jeszcze nie wszystkie grzeszą nadmierną estetyką. Cieszy założenie własnej spółdzielni mieszkaniowej i budowa owego pierwszego bloku spółdzielczego, ale idzie to niesłychanie ślamazarnie, jak po

c.d. ze str. 1

siedzi na motor i jedzie na zebrania. Mężowi powie, że po chleb, to po materiały budowlane. Zawrze coś tam przy okazji załatwi. Dziś w Drohiczynie zgłosiła u inspektora budowlanego potrzebę jednej tonny wapna. — Gdzie diabeł nie może, tam kobiecie pośle — żartuje ojciec. Antoni Kurpeta ma przeszło 80 lat. Mieszka samotnie w sąsiednich Miłkowicach. Nie chce przenieść się do córki, przez całe życie dorabiał się ciężką pracą i teraz tak by mu było żegnać się ze wszystkim, co w ciągu długiego życia zdobył. Na razie dobrze sobie radzi i jeszcze córce przysyła: — Co to u was tyle mach, u mnie nie ma żadnej.

Po co do Tatusia mają iść, jak nie mają co jeść. — U mnie jest porządek, wszystko pochowane. Rzeczywiście, sama córka przyznaje, u ojca wszystko na swoim miejscu. Dziadziusi przed chwilą przyjechał autobusem, rozjeżdżał się po podwórku zięcia i znów wraca niezadowolony: Co to sanie i wóz stoją przed stodołą. Nie mo-

— Ludzie na stanowiskach liczą się jednak z rolnikami. Człowiek ma satysfakcję, że ktoś nasz trud docenia. I wojewodowie rozumieją ludzi, na ilyt białym spotkaniach, zawsze to widzę. Nie wiedza, nauka. Nie drobna litera przed twoim nazwiskiem pisany ci tytuł. Leczyć szczerością, prostotą Pogodny twój uśmiech to życia twojego sztuka

Nie mówię dla oklasków

Bo to, kim będzie twój syn, zadowolony ty, a jaka jest nasza Ojczyzna, decydujemy my. Więc uśmiech wpałaj w kołyskę

Szczerością na co dzień żyj. Prostate wplataj w życie. A będzie dobrze ci. Z tym wszystkim łącz wiedzę, naukę. Tak chowaj dzieci swe. Utrwalisz tym wiarę w Ojczyźnie. I wzmocnisz potęgę Jej.

To jest wiersz o zwycięstwie i rozumieniu. Znam ten Dżadek uzupełniam faktem znanym z autopsji. W czasach, kiedy pod kościołem siedzieli działy, zdarzyło się że ktoś nie miał nic, więc zamiast rzucić pieniądź, uściłnął biedaka za rękę. — Drożej mi twoje ścisnienie — odpowiedział działy — niż innego grosz: idzie, rzuci, patrzy w drugą stronę.

Krakówkowa ma cały zeszyt własnych wierszy, zaczęła także pamiętnik. Chce utrwalić ślad swojej rodziny. Idzie na pole, bierze kartkę papieru i co jaka rymowana przyjdzie jej do głowy — to notuje.

Za jeden wiersz wyrecytowany dostała poza kolejnościami zimowe butki dla Bożenki. Wiersz był o zmianach dokonanych na wsi, o bezpowrotnym odejściu epoki sochy i drewnianego buta. Wspomnienie tykowego łapca tak wszystkich rozczuliło, że cała kolejką dopuściła Krakówkowa do lady.

Pani Halina bardzo chciała się uczyć. Była zdolną dziewczyną, w szkole podstawowej pięknie recytowała wiersze. Rodzice wymarli, przyjechał do niej miejsce na gospodarce. Starszy o

— Ludzie mówią, że dają pieniądze, ja nigdy nikomu

Aleksander Omilianowicz

Tajemnicze gniazdo

Przy ul. Kościuszki był jeden z okazałych sklepów. Pewnego listopadowego popołudnia 1939 roku, Olechno po sucho zakrapianym obiedzie z „Voglem” udał się znowu do „pracy” w mieście. Przechodząc ulicą Kościuski, wstąpił do tego sklepu, by kazać dostarczyć do placówki Abwehry przy ul. Wigierskiej potrzebne artykuły. Przy ladzie stało kilkunastu ludzi. Olechno bezceremonialnie odepchnął jakiegoś rosnącego cywila i już miał coś rzec do ekspedientki, lecz odepchnięty brutalnie mężczyzną, szturchnął go pięścią w pierś, i mazurek gwarą wyczerpnął z wściekłością przez zaciśnięte zęby.

— Gdzie się pchasz, ty polska świni! Precz ze sklepu! Olechno odepchnął jego rękę i trzasnął pięścią w twarz, aż echo rozległo się w sklepie. Mężczyzna upadł, lecz szybko wyszarpał z kieszeni pistolet, co też i nie minie szybko uczynił Olechno. Ludzie przeczli z sklepu, a jedna z ekspedientek zauważywszy przechodzący patrol żandarmerii, wezwała go na pomoc.

Obydaj zacierzeliwani przeciwnicy stali naprzeciw siebie z pistoletami w dłoni i obrzucali się wyzwiskami. Uderzony przez Olechnę, pocierał obolałe policzki i przeklinał go niemiecku.

Zandarmi z wymierzonymi karabinami wtargnęli do sklepu, kazali rzucić broń i podnieść ręce do góry. Ale nie uczynili tego żaden. Uderzony Niemiec wrzucił się do dworku patrolu i drżącym ze wściekłości głosem, rzekł:

— Jestem Hauptscharfuhrer SS Schweinberg, pracownik gestapo. Proszę tego polskiego bandytę zakuć w kajdany i doprowadzić do naszej siedziby — wskazał na Olechnę.

— A ja jestem pracownikiem wywiadu Abwehry, proszę pozostawić mnie w spokoju! — odparł hardo Olechno.

Zandarmi spojrzeli niezdecydowani na gestapowca, lecz ten warknął tylko: — Wykonaj rozkaz! — i schował pistolet do kieszeni płaszcza, patrząc z nienawiścią na Olechnę.

Lufy karabinów wparły się w pierś Olechny, dowódca patrolu wyrwał mu pistolet z dłoni, wprawnie zatrzasnął kajdanki na przegubach rąk, i popędzono go w stronę siedziby gestapo przy ul. Kościuski 128...

W gabinecie szefa gestapo w Suwałkach SS — Obersturmfuehrera Waldemara Macholla, siedział oberleutnant Erwin Spitzpenfell — „Vogel”, nerwowo paląc papierosa i z kamienną twarzą wysłuchiwał tego, co o wyroku Olechny mówił mu szef i rozjusznym gestapowcem Schweinberg. Nie mogli wybaczyć, że na oczach Polaków nastąpiło pohańbienie Niemca, do tego SS-mana, pracownika gestapo, i to przez Polaka, chociaż od lat szpiega Abwehry.

„Vogel” wiedział więcej, niż gestapowcy o swoim oddanym współpracowniku, którym w duchu pogardzał od dawna zarówno on jak i inni oficerowie Abwehry, lecz był im wówczas potrzebny. Teraz nadarzała się okazja pozbyć się niesfornego szpiega, bo w zasadzie swoją rolę skończył. Do tego za dużo wiedział o niektórych ciemnych sprawach Abwehry. Wysłuchawszy więc tego, co gestapowcy mieli mu do powiedzenia o Olechnie, zapytał krótko:

— Herr SS Obersturmfuehrer, co pan proponuje z nim uczynić?

— Jedno. Żeby więcej nie bił Niemców po twarzy, i żeby... w ogóle.

— Rozumiem — przerwał mu Spitzpenfell. — Proszę zamówić dla mnie rozmowę telefoniczną z „Nestem” Głyczko, bo muszę zameldować o tym przełożonemu...

Po kilkunastu minutach miał już na linii majora Schimmela.

— Herr major, melduje się oberleutnant Spitzpenfell. W dniu dzisiejszym Kazimierz Olechno dopuścił się bandyckiego czynu... tu „Vogel” zrelacjonował w skrócie zajście w sklepie przy ul. Kościuski i przedstawił propozycję szefa gestapo w tej sprawie.

Krótką była odpowiedź majora Schimmela, którą Spitzpenfell skwitował służbowo:

— Jawohl, herr major, rozumiem... — i położył słuchawkę, a potem wrzucił się do szefa gestapo.

— Herr SS Obersturmfuehrer, mój szef podziela pańskie zdanie. Proszę więc postąpić z Olechną zgodnie z pańską decyzją...

Był wczesny listopadowy ranek 1939 roku. Zgrzytnął klucz w zamku pojedynczej celi numer 8 suwalskiego więzienia Olechno poderwał się z przycy i spytał stojącego w drzwiach naczelnika więzienia, czy powiadomił oberleutnanta Spitzpenfella z Abwehry, że on tu jest bezprawnie więziony. Ten nie nie odrzekł, tylko skinął na trzech żandarmerów, którzy stali za nim. Ci weszli do celi, skuli Olechnę ręce do tyłu i popchnęli przed siebie.

Na podwórku stał w mundurze SS-Hauptscharfuhrera Schweinberg i gestapowiec Schall. Schweinberg zobaczywszy Olechnę, obrzucił go stekiem wyzwisk, gdyż był bardzo urażony w swojej ambicji bo kamraci dokuczali mu, że oberwał w gębę od Polaka.

Zandarmi poprowadzili szarpającego się Olechnę za więzienną łańcuch, pod mur, gdzie jeden przymocował go łańcuchem do haka, specjalnie tam wbitego. Zbój zrozumiał. Błaganie, zakłęcia, bał nawet płac, tylko rozśmieszyły gestapowców i naczelnika więzienia.

Gdy zandarmi wymierzyl w niego lufy karabinów, Olechno po raz ostatni omiotł spojrzaniem mury więzienia, w których przyszedł na świat, i gdzie jeszcze na strychu stała jego kołyska. I być może przypomniał sobie wówczas wróżbę starej Cyganki, która przepowiadała mu niedługo, że umrze w miejscu urodzenia, z czego wówczas serdecznie się uśmieł. A i Niemcy zapowiedzieli mu w 1939 roku, że może być rozstrzelany, lecz on wówczas uznał to za niesmaczny żart...

Gruchnęła salwa, która przelotnie się echem nad uszonym miastem, bo było jeszcze bardzo rano. Potem rozległy się dwa cichsze strzały pistoletowe, które SS-Hauptscharfuhrer Schweinberg oddał do zwiniętego pod murem szpiega. Złwoki rozstrzelanego wywieziono do pobliskiego szwajcarskiego lasu i tam zakopano...

„Nagroda” dla szpiega

Wkroczenie Niemców do Suwałk, zastało Abrahama Mojszesa Motulskiego szpiega Abwehry („Marek” A-031) na miejscu. Jako człowiek interesu i bardzo ruchliwy w sprawach handlowych został wyrzucony wojną ze zwykłego biegu spraw. Polskiego wojska nie było w mieście, a więc dostawy furaz i zapotrzebowania się skończyły, interesy handlowe także na razie nie szły, szpiegować też nie mógł, bo już nie było co i dla kogo. A więc nudził się solidnie i czekał niecierpliwie, kiedy władze niemieckie ściagną do Suwałk, bo wierzył, że z nimi ułoży pomyslinie swoje dalsze

ciąg dalszy na str. 5

Z pismem polecającym z redakcji „Trybuny Ludu” w kieszeni stanął przed archaicznym budynkiem białostockiego dworca i kazał dorożkarzowi wieźć się do „Gazety Białostockiej”. A dorożkarz, zamiast rzucić się na zarobek, śmieje się: Panie, toż to tak blisko! Ano, jemu — miejscowemu blisko do ulicy Kilińskiego, gdzie w ocalałej z wojennego kataklizmu kamienicy miała swoją siedzibę „Gazeta Białostocka”.

W hotelu podobno czekało zarezerwowane łóżko. Niestety, nikt nie wiedział, więc pierwszą białostocką noc wypadło spędzić na hotelowych schodach. Nazajutrz, już z nowymi kolegami z nowej gazety redaktor Zygmunt Brzozowski odgrzywał miejsce, gdzie obecnie stoi kino „Półkój”. To był rok 1951.

W miejscu dzisiejszego Komitetu Wojewódzkiego PZPR babcia „Kozłarka” pasła kozy. Na ulicy M. Skłodowskiej miejscowi akwaryści łowili w wędłach dafnie dla rybek. Obok ruin spalonej bożnicy plac ze stertą gruzów jeszcze nie uprzątniętą czekał na rok 1954 — początek wznoszenia budynku białostockiej prasy (wcześniej 5 mln zł, przeznaczonych na ten cel, poszło na budowę ratusza). Nad knajpą „Pod końskim ognem” na rogu Rynku Kościuski (obecnie sklep garmażeryjny) red. Brzozowski zamieszkał po kilku latach.

I tak zaczęła się przygoda z miastem, które dla warszawskiego redaktora miało być jednym z etapów dziennikarskiego losu, a stało się jego życiową przystanią...

— Jeszcze jako dziecko — wspomina dzisiaj red. Brzozowski — marzyłem, żeby zostać gazdaczem. Takim zwyczajnym „od roznoszenia gazet po ulicy. Czas zwałyfikować marzenia na moją korzyść. Zostałem dziennikarzem. Po roku pracy w „Trybunie Ludu” dostałem nagrodę: przeniesienie do Białostocka. Dzisiaj, kiedy od tamtych czasów dzieli mnie dystans tyłu lat, inaczej patrzę się na własną pracę, której

— Nasze magnetofony — mówi dzisiaj wioletoletni naczelnik rozgłośni — były po prostu straszne. Taki „Emil” ważył 40 kilogramów. Kiedyś na jeziorze pod Elkiem łódź się zalamała pod moją i magnetofonem. Wpadliśmy w wodę a ja odleżałem 3 tygodnie na zapaleniu płuc.

Red. Brzozowski dotychczas pamięta swój pierwszy białostocki raport. Zrobił go w Zakładach Sierżana, a naczelnik Stefan Pawłata uhonorował autora wysoką premią — 150 zł.

Z „Gazety Białostockiej” po-



Rok 1959. Społeczny Komitet Budowy uczestniczył w położeniu kamienia węgielnego pod budowę Ośrodka Nadawczego PR i TV w Krynicach. Przemawia Arkadiusz Łaszczyk, ówczesny I sekretarz KW PZPR w Białymostku. Pierwszy z prawej — red. Zygmunt Brzozowski. Foto: ZDZISŁAW OLSZEWSKI

Staram się przywrócić pamięć wrażenie tamtych dni: słoneczne, upalne, tak jak w tym roku, lato, w dole szeroko rozlana, płynąca majestatycznie powolnym nurtem rzeka, na wysokiej zaś skarpie przycupnęło małe miasteczko, jakby zawstyżone nieco kontrastem między dumną przeszłością i znaczną skromniejszą współczesnością.

Rozbiliśmy namiot u podnóża skarpy, niemal nad samą wodą, cały dzień kąpieliśmy się w rzecze, a wieczorem wspanialiśmy się na Górę Zamkową; w dole przed nami płynął Bug prawie tak stary jak Bóg, a z tyłu mieliśmy tych kilkadziesiąt domków i parę niedużych kościołów — sławny i wielki nieduży Drohiczyń, dziś mała miścina, nieledwie wieś. Sama nazwa — Drohiczyń — jakże brzmi starożytnie i tajemniczo. Był ten gród stolicą Jaćwieży, księżstwa ruskiego, stolicą województwa i całej ziemi drohiczyńskiej. Kopał tu i w okolicy od lat archeologowie i coraz to wzbogacają obraz przeszłości tego niezwykłego zakątka kraju. Nieduży miasto rozciągało się po obu stronach Bugu, był tu ruchliwy port rzeczny, parę kościołów i tyleż cerkwi, słynne Collegium Nobilium.

Tak było, a jak jest obecnie? Mój młody przyjaciel K.S., który z równą wiernością jak dzieła klasyków cytuje teksty swoich starszych kolegów, przypomina mi co napisał w swoim czasie na widok Drohiczyńską red. Zdzisław Kazimierz: „Miasto leży jak zdechła ryba na brzegu rzeki”. Porównanie niewątpliwie oryginalne, wręcz szokujące, ale wydaje mi się, że i nieprawdziwe, i

mocno krzywdzące w stosunku do współczesnych mieszkańców Drohiczyń.

Teraz, w 12 lat po tamtych urlopowych wozajach, ponownie odwiedzam miasteczko i jak za pierwszym razem jestem pod jego przemożnym, niedziśnieszym urokiem. Czy nie powinni tu przyjeżdżać tłumnie malarze, poeci, architekci? Czy nadbużański Drohiczyń nie powinien być równie popularny, również mój jak nadwiślański Kazimierz?

Chcę to pytanie postawić gospodarzom miasteczka, ale trochę zagubim się pośród na pół wiejskich uliczek, wśród małych, tonących w ogrodach domków i trafiam najpierw do Gminnego Ośrodka Kultury. Może to i dobrze, to bowiem ma powstać siedziba muzeum Drohiczyń. Swoją drogą to znamienne, że miasto, którego początki datowane są na rok 1060, nie ma do dziś własnego muzeum.

Krystyna Laszuk, kierowniczka GOK-u, sympatyczna, życzliwa i bardzo otwarta młoda osoba, szybko naprowadza mnie na trop właściwych osób, z własnej inicjatywy dzwoni i umawia mnie z ludźmi kompetentnymi w historii i dniu dzisiejszym Drohiczyń. Jakby też uprzedzając moje późniejsze pytania informuje, że w ośrodku pracuje małżeństwo Maigorzata i Janusz Zduńkowie, oboje są absolwentami Liceum Plastycznego w Naleczowie i oboje z zapamiętaniem przenoszą na płótno urodę miasteczka. Naczelnik miasta i gminy mgr Maria Chlebicka jest najwyraźniej przygotowana na takie zwyczajowe dziennikarskie pytania. Któż tu może uciec od historii, która ciąży nad mieszkańcami, uderza swoją monumentalnie barokową przeszłością przyszyta?

— Proszę pana — rozpoczyna bardzo rzeczowo — 70 proc. swego czasu poświęcam rolnictwu. A rolnictwo teraz to wiadomo: żniwa, a żniwa to znów wiadomo: kwestia sznurka. Ale oddałam tę sprawę w ręce samorządu wiejskiego — i uśmiecha się zadowolona z pomysłu. — Tak zatem na miasto pozostaje mi zaledwie 30 proc. czasu mojego urzędowania. Co mi się udało zrobić w ciągu sześciu lat mojego tu administrowania? — sama sobie stawia to pytanie, a potem zaczyna wylizywać: — po pierwsze ujęcie wody

— w ogóle wodociąg miejski, następnie przygotować dwie parcely pod budownictwo indywidualne, jedną na 17 działek, drugą jeszcze w stadium organizacji, na 50; rozpocząć budowę pierwszego bloku spółdzielczego w mieście, a dalej: pawilon handlowy, restaurację z częścią hotelową na 30 miejsc.

— Ale lista tego, czego nie udało się zrealizować bądź co zaledwie zostało rozpoczęte, jest o wiele, wiele dłuższa. Stadion, dworzec PKS, kino, strażnica, ulice które nie zawsze a w każdym razie — jeszcze nie wszystkie grzeszą nadmierną estetyką. Cieszy założenie własnej spółdzielni mieszkaniowej i budowa owego pierwszego bloku spółdzielczego, ale idzie to niesłychanie ślamazarnie, jak po

grudzie, i niewielkie są szanse na wprowadzenie się pierwszych lokatorów zgodnie i planowanym terminem.

Na to własne lokum czeka także Krystyna Laszuk, która w lecie mieszka w domku kempingowym, skąd ma co prawda wspaniałe widoki na dolinę nadbużańską, lecz zima musi dojeżdżać do pracy z Siemiatycz. Jest specjalistką od organizacji i zarządzania, absolwentką UMSC w Lublinie, ale jako praktyk z zawodem nie mogła za-

— Nie mam już siły na to przedsięwzięcie budowlane z Bielska Podlaskiego — żali się pani naczelnik. — Może by pan jakos na nich wpłynął — proszę. Nie obiecuję jednak, aby w razie ewentualnego niepowodzenia nie poderwał autorytetu swojej firmy. — Bo z fatalnymi warunkami sanitarnymi fabryki obuwia (filia fabryki z Siemiatycz) sama sobie poradzę, choćby nie wiem co...

Mam coraz więcej sympatii do pani Marii Chlebickiej, za jej energię, za jej kobieco-

A w dole

„Wszelka przymusowa robota poniża człowieka, zamienia go w bydło, wystawia na tyłeczne pokrzywdzenia, tamuje jego moralne dążenia...” — jeszcze przed Marksem pisał hrabia Karol Brzostowski do swych chłopów z posiadłości sztabińskiej. Postanowili uwolnić poddanych od przymusowej pańszczyzny, dać im możliwość pracy nie tylko na roli, ale w fabrykach, hutach, kopalniach, młynach, garbarniach, browarach itp. Odziedziczona po przodkach po kadzieli Chreptowiczach posiadłość nadbiebrzańska pod rządami Brzostowskiego zamieniła się w słynną Rzeczpospolitą Sztabińską.

Gdy nad Niemnem Mickiewicz ogłaszał romantyczne „Pierwioski” i „Switezianki”, czerwony hrabia wprowadzał do sąsiedztwa prawdziwą rewolucję społeczną. Brywały w świątynie i na dworach zdecydował się pchnąć do przodu zabagnioną ziemię, przyległą do nalpowolniejszej z polskich rzek (stał tak wiele nad Biebrzą moczarów i bagiennych zastoi).

„Czerwony hrabia” zlikwidował pańszczyznę, pijaństwo i ciemnotę. Wzorną się na świeżym wynalazku Bella uruchomił w swej posiadłości pierwszy na ziemiach polskich telefon. Zegnął się z życiem w 1854 roku pozostawiając testament: „Wiościanie, fabrykanci, oficjalniści i pomocnicy

Sztabin na tle gmin sąsiednich i dziś wyróżnia się nader korzystnie. Nie słychać tu o rozbojach, upianiu się na umór. Schludne są domostwa, czyste ulice Udegera w oczy biel krawężników. Oryginalnością wyróżniają się dwie budowle — kościół i szkoła. Obie zostały wzniesione za środków fundacji sztabińskiej, która przetrwała do 1939 roku. Świątynia w pełni zaspokaja potrzeby wiernych, ale szkoła — przyjąwszy nazwę Gminnej Szkoły Zbiorczej — od wielu lat przestala wystarczać sztabińskim dzieciom.

Tam odbywają się ćwiczenia gimnastyczne w ciągu miesiący zimowych, bo wiosną i jesienią muszą wystrząść zajęcia „pod chmurką”. Serdecznie popieram moim dziennikarskim piórem aspiracje mieszkańców Sztabiny. Nie ja jedna. Wśród członków założonego cztery lata temu Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Sztabińskiej im. Karola Brzostowskiego obok tutejszych rolników, robotników, urzędników i oczywiście nauczycieli znaleźli się mieszkańcy Warszawy i Wrocławia. Również biskup Zawistowski z Łomży należał do Towarzystwa, które wyrosło z nasion zasiewanych nad Biebrzą przez wiele poprzednich pokoleń.

Aleksander Omilianowicz
Tajemnicze gniazdo

sprawy i to nie tylko handlowe. Zresztą miał obiecanie niedyś przez pana „Leśniczego” w hotelu „Heilige Hubert” w Żytkińskich, inne poważniejsze, a przede wszystkim intrzykniejsze zajęcia, i to nie tylko w Suwałkach. Trochę niepokoiło go, że nikt z Abwehry nie odsukał go i nie nawiązał kontaktu przerwanego wojną. Ale wierzył, że i to wkrótce nastąpi, tylko trzeba cierpliwie czekać.

Czasu wolnego miał teraz Motulski nadmiar, a więc spotykał się z liczną rodziną, przyjaciółmi i prowadził z nimi niekończące się rozmowy. W odróżnieniu od współpracownicy bardzo przeróżnych takim obrotem wojny i wkręceniem Niemców do Suwałk, Motulski był spokojny i tylko ciekawie nadstawał uszu, co się mówi o nowej sytuacji i w ogóle o hitlerowcach, bo to także mógł być „towar handlowy”. A mówiło się, i to wiele.

Oto co dnia dochodziły z miasta dramatyczne wieści o przesładowaniu i biciu Żydów przez Niemców, a szczególnie przez rozwydrzonych Volksdeutscheów z Selbstschutzu, rabunkach dokonywanych u współbraci przez hitlerowców i niejakiego Olechnę, który nie wiadomo skąd pojawił się wraz z Niemcami w Suwałkach. Wtajemniczeni przebiekali, że ten zdołał i rozbojnik był już od dawna na usługach niemieckich, ale Motulski nie wierzył temu, żeby zwykły zbir, był jego kompanem w wywiadzie, i by mógł go wykorzystywać honorowi oficerowie Abwehry, o których miał jednak jak najwyższe mniemanie. Przypomniał sobie jednak, że niedyś Abwehra pytała o Olechnę i jego brawurową ucieczkę z więzienia, a więc może i pracował dla nich?

W rozmowach w gronie przyjaciół nigdy nie padło słowo: Abwehra — wywiad wojskowy, bo chyba też nazwy i nie znało w Suwałkach. Za to ze zgrozą powtarzano sobie słowa: gestapo i SS, jako największych zbrodni hitlerowskich, którzy terroryzowali Niemców i barbarzyńsko rozprawiali się z Żydami.

Po takich rozmowach, Motulski na zimno, po handlowemu, jak miał w zwyczaju, rozmyślał sobie: „kto też jest w tej Trzeciej Rzeszy najwęższy? Abwehra, czy też gestapo i SS...?” Czas wymagał podjęcia mądrej decyzji i postawienia na najpewniejszego konia, na którym przy pomocy Niemców daleko zajędzie. Ale na których Niemców postawić?

Motulski odwiedzał więc licznych znajomych; Żydów i Polaków, przysłuchiwał się rozmowom, i sam je prowokował, na temat Niemców i ich instytucji. Złowieszcze słowo: gestapo! — powtarzano wszędzie. I ta instytucja miała być podobno najpotężniejszą i wszechwładną w Trzeciej Rzeszy. A więc stary szpieg podjął życiową decyzję...

W końcu października 1939 roku, Motulski ze sportem sakwojażem udał się do siedziby gestapo przy ul. Kościuszki 128. Dyżurny u wejścia zapytał go o jaką sprawę i do kogo tu przychodzi. Gdy usłyszał, że przybysz jest umówiony telefonicznie z samym szefem gestapo, wymienił numer pokoju i kazał mu iść na piętro.

Podniecony, jak to przy ważnych decyzjach życiowych bywa, Motulski zapukał do drzwi oznaczonych numerem siódmym, i wszedł do pokoju szefa gestapo, podrażniając go wylewnie. Macholl, w mundurze SS-Obersturmfuehrera, pisał coś przy biurku. Dociegnął zdanie do kropki i dopiero wtedy podniósł głowę, obracając na wchodzącego swoje złowieszcze spojrzenie. Odburknął na powitanie, i ogłosemno spytał:

— Pan jest Żydem?
— Tak, panie szefie, jestem Żydem... — A widząc, że Macholl wręcz z odrazą skrzywił się na obecność Żyda w swoim gabinecie, szybko i chaotycznie zaczął mówić: — Panie szefie, to nie, ale ja bardzo lubię Niemców i Trzeciej Rzeszy oddałem wielkie usługi...
— Jakie? — spytał krótko Macholl.
— Motulski przybliżył się do biurka i konfidencjonalnie uśmiechem, jakby komunikował radosną wieść, odpowiedział:
— Od tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego roku jestem wywiadowcą Abwehry. Dużo, bardzo dużo materiałów wywiadowczych przekazałem waszemu wywiadowi...

— To bardzo ciekawe — zainteresował się szef gestapo. — Proszę siadać — dopiero teraz wskazał Motulskiemu krzesło. — Niech pan szczegółowo opowie o kim współpracował i jakie materiały wywiadowcze przekazywał.

Lecz Motulski zanim spełnił to życzenie szefa gestapo, otworzył sakwojaż i sumiście, że zabiera czas, prosił Macholla, by nie pogardził skromnym upominkiem, który w dniu zawarcia znajomości przyniósł. I nie czekając przyzwolenia, szybko wyłożył na biurko wiązkę przednich wędlin, liter polskiej „wyborowej”, dwie butelki francuskiego koniaku, kilka bombonierek i kartonów papierosów. Z kieszeni marynarki wydobył piękne, zdobione etui przetrzymane wstążeczką; był w nim zegarek szwajcarski „Omega” i pierścionek damski z brylantem.

— Ależ panie... panie...
— Motulski, do usług herr szef.
— Panie Motulski, co to wszystko znaczy? — spytał Macholl, udając srogą minę, nie mogąc oderwać oczu od darów rozłożonych na biurku.
— Panie szefie, jak skromny kupiec trochę zarobiłem przy Polsce, a i oficerowie Abwehry też nie zapominali o mnie, więc jestem bardzo wdzięczny Niemcom, i proszę nie odmówić mi i przyjąć te skromności.
— Dziękuję! Ale proszę, niech pan siada — Macholl wskazał krzesło — i opowiada o sobie, bo to mnie bardzo interesuje.

Motulski drgnął radośnie, zważo ruszył z miejsca i usiadł, ale nie na całym siedzeniu, chociaż było mu niewygodnie, tylko na brzęczku, żeby łatwiej było wstać. Szybko zaczął opowiadać Machollowi, jak doszło do jego współpracy z Abwehrą, i jakie materiały szpiegowskie jej przekazywał. Macholl pilnie słuchał, przelizując się czasem wzrokiem po darach leżących na biurku, a szczególnie po otwartym etui, gdzie błyszczała pozłacana „Omega” i grał odpryskami światła brylant w pierścieniu.

— Panie szefie, ja bardzo pragnę pomóc gestapo. Motulski dużo wie. Znam mieszkańców Suwałk i wiem, kto czym tu „pachnie” — zakończył swoją relację i służalczo wpatrzył się w Macholla, czy nie pogardza jego ofertą. Ten chwilę coś ważył w myślach, a potem spytał:

— Mówił mi pan o swoich wizytach w hotelu „Heilige Hubert” w Żytkińskich i niejakim „Leśniczym”. Kiedy ostatni raz spotkał się pan z nim?
— Wiosną tego roku.
— A więc poznałby go pan?
— No jakże... — uśmiechnął się Motulski.

ciąg dalszy w sobotę

PROMIENIOWANIE

moj — oto są moje dzieci. Ja ich wychowałem, oni pracowali ze mną i pomagali mi do stworzenia funduszu, którym dziś dysponuję. Z nimi żyłem i sumienie moje dyktuje obowiązek — ich byt po mojej śmierci zabezpieczyć”.

Umarł bezpotomnie, pozostawieni przezeń nieudolni administratorzy zaprzęśli domarobek materialny Brzostowskiego. Car unieważnił zbyt rewolucyjny, jak na XIX wiek, testament hrabiego, ale może dlatego odpisy nielegalnego tekstu pieczętowało przechowywano w wiejskich chałach prawie przez całe stulecie. Dość szybko pozniaki z pejzażu fabryki, hut, telegrafy, ale testament, chowany w chłopskich skryżkach jak relikwiarz, dopiero po ostatniej wojnie, gdy Manifest PKWN zapewnił wszystkim Polakom w tym z czasów Brzostowskiego, testament hrabiego przestał być relikwią.

W nadbiebrzańskim Sztabinie lata 1980—81 minęły o wiele spokojniej, niż na Wybrzeżu czy nad Odrą, ale po 13 grudnia co światlejsi ludzie odetchnęli z ulgą. Po tej dacie bojaż o byt Rzeczpospolitej ustąpiła miejsca trosce o to, aby Polska szybko podźwignęła się z upadku.

W XVIII wieku dobrami sztabińskimi zarządzał dziad Karola po kadzieli — Joachim Chreptowicz, współtwórca Komisji Edukacji Narodowej. Zanim włączył się on w wielkie dzieło ratowania Rzeczpospolitej od podstaw, czyli od oświaty narodowej — zrobił niemało we własnych dobrach. Przed 1760 r. założył miasto nad Biebrzą, które nazywało się wtedy Osinki, a obecnie ta sama miejscowość nosi miano Sztabin i nie jest już miastem. Jest za to siedziba jednej z najambitniejszych gmin, zaś w pobliskim Cisowie — siedzibie twórcy Rzeczpospolitej Sztabińskiej — od niedawna zaistniała się wojewódzki ośrodek kultury Związku Młodzieży Wiejskiej.

Wrocili więc absolwent uniwersytetu na ziemię ojców i dziadów, by rozwijać dzieło twórcy Rzeczpospolitej Sztabińskiej. Choć matematyk z wykształcenia, potrafił ożywić ideą społecznikowską „czerwonego hrabiego”. Wraz z innymi, podobnie myślącymi rodakami założył Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Sztabińskiej. Dzień narodził wybrano nieprzypadkowo — 22 lipca, ale rok 1979 był już mniej szczęśliwy. Dekada sukcesu miała się niebawem odwrócić w dekadę klęski. Ambitnie zamierzali twórcy towarzystwa skorygowała kryzysowa rzeczywistość.

W nadbiebrzańskim Sztabinie lata 1980—81 minęły o wiele spokojniej, niż na Wybrzeżu czy nad Odrą, ale po 13 grudnia co światlejsi ludzie odetchnęli z ulgą. Po tej dacie bojaż o byt Rzeczpospolitej ustąpiła miejsca trosce o to, aby Polska szybko podźwignęła się z upadku.

Jan Dunaj liczy, że aktywność działacza PRON zdoła przebić barierę niemożności i rozpoczęta 10 lat temu budowa nowego skrzydła będzie wreszcie sfinalizowana. Większe lokum dla szkoły jest pilnie potrzebne. Bo trudno sobie wyobrazić nowoczesną placówkę oświatowo-wychowawczą bez sal do zajęć techniczno-praktycznych, świetlicy, kuchni czy stołówki. Brak sal gimnastycznych nauczycieli w Jan Bojarski musi rekompenzować remizą strażacką.

Myślę, że jednym z celów współczesnych społeczników mogłoby być sprowadzenie do Sztabiny prochów Karola Brzostowskiego. Zmarł on w 1854 roku w Paryżu i został pochowany obok grobów Niemcewicza, Kniawiewicza, Mickiewicza. Plan taki podjęto blisko pół wieku temu. Ale wybuch wojny pokrzyżował zamiary ówczesnych mieszkańców Sztabiny.

HELENA PILIUK-VANKOVA

Poginęły gdzieś teksty zapisu, a ostatni egzemplarz trafił do archiwum w Suwałkach. Trudno dziś znaleźć pamiętki materialne z trzydziestoletniego okresu śmiałych eksperymentów Brzostowskiego, ale w życiu duchowym gminy sztabińskiej bez trudu można wyczuć promieniowanie tamtych czasów. Rygorystyczne egzekwowanie przez Brzostowskiego takich cnót, jak trzeźwość, uczciwość i pracowitość wwarły chyba trwałe ślady, bo

Podczas nieobecności matki dzieci gotują, sprzątają. Bożena podaje do stołu.
— Mówią, że kto pracuje społecznie, ten zaniedbuje wychowanie dzieci. Krakówkówna nie potwierdza tego, wychowywała je dobrze, są pracowite, posłuszne.

Podczas nieobecności matki dzieci gotują, sprzątają. Bożena podaje do stołu.
— Mówią, że kto pracuje społecznie, ten zaniedbuje wychowanie dzieci. Krakówkówna nie potwierdza tego, wychowywała je dobrze, są pracowite, posłuszne.

Funduszu Rozwoju Rolnictwa kupić maszynę samoczyszczącą Krakówkówna uważa, że z maszyną tej kosztowałyby 10—15 osób, z drogi zaś — całą wieś, 50 gospodarstw. Więc co ważniejsze? We wsi nie ma w tej sprawie jedynomyślności. Jedni uznają tak, drudzy — inaczej. Ktoś rozsądny musi ten problem rozstrzygnąć i jeśli nie w ten sposób, to w inny przystąpić do budowy drogi. To wstyd jeździć wertepami i w czasie deszczu brnąć po błocie.

Funduszu Rozwoju Rolnictwa kupić maszynę samoczyszczącą Krakówkówna uważa, że z maszyną tej kosztowałyby 10—15 osób, z drogi zaś — całą wieś, 50 gospodarstw. Więc co ważniejsze? We wsi nie ma w tej sprawie jedynomyślności. Jedni uznają tak, drudzy — inaczej. Ktoś rozsądny musi ten problem rozstrzygnąć i jeśli nie w ten sposób, to w inny przystąpić do budowy drogi. To wstyd jeździć wertepami i w czasie deszczu brnąć po błocie.

IRENA BIERNACKA
Nowy, wymarzony dom będzie trzykondygnacyjny. Każde z dzieci dostanie swój pokój.
Fot. Z. ZAREMBA



Na zebraniu wiejskim w Sieniewicach padła propozycja, by za pieniądze z

Podczas nieobecności matki dzieci gotują, sprzątają. Bożena podaje do stołu.
— Mówią, że kto pracuje społecznie, ten zaniedbuje wychowanie dzieci. Krakówkówna nie potwierdza tego, wychowywała je dobrze, są pracowite, posłuszne.

Podczas nieobecności matki dzieci gotują, sprzątają. Bożena podaje do stołu.
— Mówią, że kto pracuje społecznie, ten zaniedbuje wychowanie dzieci. Krakówkówna nie potwierdza tego, wychowywała je dobrze, są pracowite, posłuszne.

Podczas nieobecności matki dzieci gotują, sprzątają. Bożena podaje do stołu.
— Mówią, że kto pracuje społecznie, ten zaniedbuje wychowanie dzieci. Krakówkówna nie potwierdza tego, wychowywała je dobrze, są pracowite, posłuszne.

Edyta ma na świadectwie same piątki, z wyjątkiem matematyki.

trzydzieści lat brat Antos opuścił ich, zdobył mają mądrą i został nauczycielem w Nurcu. Pracuje tam zresztą do dziś.

Według woli ojców, Halinka miała być następcą na tak trudno zdobytej pomysłowej ziemi. W jaki sposób się przeciw temu bunowała i co z tego wyszło, opisała w pamiętniku. Gdy komuś o tym opowiada, albo czyta, każdy płacze. Samej też by leca, kiedy sobie przypomni.

Był 1 września 1957 roku. Rano o piątej 14-letnia Halinka złożyła słuchawkę na uszy i słucha radia. Mówią, że tyle i tyle tysięcy uczniów rozpoczyna dziś nowy rok szkolny. Nie mogła tego przeżyć, upadła na stół z rozpaczą i szlocha. Ojciec zobaczył i mówi: Nie będzie ja ci, dziecko, drogi do nauki grodził. Masz tu rower, trzysta złotych i jedź do Sieniewic, może przyjmą cię do ogólniaka. Narzowski drogę, most, za mostem składa narzędzi, skrzęził prawną, zobaczysz duży budynek — to będzie szkoła.

Przez ścierałnicą, z rowerem pod pachą, aby szybciej, trafiła na szkolny apel. Nauczyciel wyczytałie ośmioklasistów. Czyje nazwisko przypomina? Dlaczego? — Bo teraz przulechalam. Zaczęła i ona rozmawiać, ona płacze.

Jak dziś pamięta, egzaminował ją prof. Cholewa: Co ty, dziecko, znasz? — „Pana Tadeusza”. — Kto go napisał. Wyrecytowała inwokację. Czy znów stanęły w oczach. — Ty, dziecko, nie możesz zostać w domu.

Zamieszkała u obcych ludzi. Nic nie jadła, tylko wodę piła, nie słodzoną, bo za cukier nie mogła zapłacić. Książkę nie miała, chodziła odrabiać lekcje do koleżanki na drugi koniec miasta.

I byłaby może przetrwała, gdyby nie pewien moment. Profesor geografii kazał zrobić globusy. Wszystkie dzieci przyniosły pięćdziesiąt-pięćdziesiąt, a ona małą, którą przyniosła na piątkę. Kiedy ją wyścięgnęła, wybuchł ogólny śmiech. I on zadecydował o końcu jej nauki.

Halinka wstała, wyszła z klasy, wzięła rower i przyjechała do domu. Wjeżdża do Miłkowiec, widzi, idzie Mariusia, niesie ziele. Rzuciła worek, objęła ją: Moja kochana córka, wróciła do mnie. To było w czwartek, a w poniedziałek zawiozła ją na targ, kupia malowaną spódnice, białą haftowaną bluzkę i czarny portfel. Zro-

upór i z tej narastającej sympatii godzę się nieco lekkomyślnie poprzeć na łamach „GW” kwestię budowy szkoły w Drohiczyźnie. Budowa szkoły ma tu historię tak długą jak dzieje Polski Ludowej, ta historia, co prawda, nie może zaimponować dziejom Drohiczyzny; niestety, smutnym faktem jest, że dzieci uczą się tu w niestychanie trudnych warunkach, w starym, wiekowym budynku. (W Drohiczyźnie jak już jest coś stare, to sobie zawsze liczy te skromne sto, dwieście, trzyście lat).

Odkładam do innej okazji wizytę u pana Bujno, przewodnika po Drohiczyźnie, który a-

ze swymi przyjaciółmi. Miał zamiar budować dom pracy twórczej, to miało być wśród artystów. Ale potem przyszły te znane wydarzenia, wie pan, a myślimy się nawet znaleźli w Białymstoku na cenzurowanym, że sprzedaliśmy za dużą działkę panu Olibrychskiemu.

Schodźmy na dół, do małej, lecz estetycznej świetlicy, gospodarz wspaniałomyślnie częstuje kawą i naraz zaskakuje mnie wynaniem: — Wie pan, muszę się przyznać, jestem właścicielem chiropo-łekarzem. Aby być uczciwym, byłem nim całe życie i chcę nim nadal pozostać, muszę sobie dorobić uprawę porzeczki, truskawek. Z pensji — zarabiam około 16 tys. zł — nie utrzymam trójki dzieci i nie pracującej żony.

Zapadło krótkie milczenie, po czym dr Ochędalski zaczął jakby do siebie: — Pochodzę z Poznańskiego, z bardzo patriotycznej rodziny, nie chwalebę się, kołach jednak Drohiczyznę niemal tak, jak się kocha rodzinę. Mieszkałem tu już ponad 20 lat, ludzie traktują mnie jak swojego. I znów po małej przerwie i po namyśle: — Może ma pan rację, że nie można ciągle rozpałtywać własnych krzywd, przykrości, upokorzeń. Może nie wolno stać z boku, tak, zgadzam się, nieobceni nie mają racji. I już bardziej pogodnie: — We wrześniu będziemy mieli walny zjazd członków Towarzystwa. Może do tego czasu uda nam się popchnąć sprawę muzeum. W każdym razie zapraszamy...

ptynie Bug...

— A co z tą szansą na Kazimierz? — ja znów zaczęłam swoje. — Gdyby nie kryzys — wzdycha Maria Chlebnička. — Już tak dobrze wszystko się zapowiadało. Nasze Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Drohiczyńskiej naprawdę się zasużyło. Wspierał nas Klub Drohiczyński w Warszawie, wielu jego członków było ludźmi na wysokich stanowiskach. Działalność Olibrychski na przykład, który kupił tu sobie działkę, często przyjeżdżał

kurat reperuje dach na budynku i znów przemierzam całe miasteczko, kierując tym razem kroki do Przychodni Rejonowej. Kierownik przychodził dr Jerzy Ochędalski jest nominalnie nadal prezesem Towarzystwa Miłośników Ziemi Drohiczyńskiej. — Tak, to prawda — przyznaje dr Ochędalski. — Towarzystwo stało, rzeczywistość nie ostatnio nie robimy. Trzeba się będzie jakoś zmobilizować, obiecałem to pani naczelnik, może należałoby wprowadzić młodych ludzi do zarządu, mam nawet parę osób na widoku.

Lepiej zejść z tych rozważań, sam siebie przestrzegam i stawiam pytanie: — Ale dlaczego Towarzystwo wytraciło swój dawny impet?
— Mam odpowiedzieć szczerze? — upewnia się mój rozmówca. — Oczywiście, że tak. — Więc powiem po prostu — mówi prezes Towarzystwa. — Załamałem się, to wszystko, co się wydarzyło w ostatnich paru latach, było ponad moje siły, ponad moje zrozumienie. Miałem jak inni tyle nadziei...

Wracając do Białegostoku rozmyślałem nad jakimś zgrabnym, optymistycznym zakończeniem tego sprawozdania z rekonesansu do Drohiczyzny. Niezrozumiany w K.S. radzi mi zyczliwość: — Nie układaj, nie komponuj, pisz jak myślisz. Ba! Nie każdy ma taką łatwość myślenia. Sądzę po prostu tak: to, co nam historia z tak rzadką na ziemiach polskich hojnością przekazała do naszych czasów jest, powinno być własnością ogólnonarodową. Było kiedyś takie piękne hasło: Cały naród odbudowuje swoją stolicę! Proponuję na użytek Drohiczyzny skromniejszą jego wersję: Punktem honoru całego województwa winno być przekazanie urody i zabytków tego miasteczka następnym pokoleniom w możliwie nienaruszonym stanie.

Następnym pokoleniom — może więc młodzieży będzie patronem tego przedsięwzięcia.
— Ale to jest nasz kraj, a to jest wasze miasto. — mówię. — Nie możemy ciągle rozważać, co by było gdyby. Tyle jest przecież roboty przed nami...

MARIAN WIŚNIEWSKI

Historia muzyką pisana

Po wyzwoleniu Olecka, 22 stycznia 1945 r., rozpoczął się proces zasiedlania i odbudowy. Wśród przybywającej do miasta i powiatu ludności dał się zaobserwować żywioły pęd do amatorskiego ruchu artystycznego. Samorządnie zaczęły powstawać zespoły teatralne, recytatorskie, śpiewacze i instrumentalne.

Od lipca 1946 roku ruchowi temu patronował i wmiarę możliwości udzielał pomocy finansowej, ówczesny kierownik Referatu Kultury i Sztuki Starosta Powiatowego w Olecku, Feliks Jordan — Lubierzyński. Dzięki jego wysiłkom już w r. 1947 powstała miejska orkiestra dęta pod kierownictwem Józefa Bojara — zawodowego trębacza orkiestry wojskowej przed 1939 r., skupiająca dorosłych entuzjastów — „deciaków” — z terenu miasta i okolic. W następnych latach powstały również chóry: przy szkole ogólnokształcącej stopnia podstawowego i licealnego (1949) oraz przy Powiatowej Radzie Związków Zawodowców (1950), pod batutą Stanisława Chańki.

Ten spontaniczny ruch amatorski był m.in. przyczyną powołania 1 kwietnia 1949 r. w mieście i okolicy, pierwszych ognisk muzycznych mających za zadanie upowszechnienie muzyki poprzez naukę gry na instrumentach, muzykowanie w zespołach itp. Były to: Miejskie Ognisko Muzyczne w Olecku pod dyrekcją Józefa Bojara i Wiejskie Ognisko Muzyczne w Cimochach pod kierownictwem Tadeusza Turkowskiego.

W 1970 r. powstało Państwowe Ognisko Muzyczne którego dyrektorem został długoletni pedagog i dyrektor szkół muzycznych, Kazimierz Tauter. Ognisko to w 1971 r. zostało przekształcone w Państwową Szkołę Muzyczną I stopnia. Szkoła z upływem

lat objęła swym działaniem także miasto Goldap, organizując tam punkt nauczania, który następnie (w 1979 r.) został przekształcony w filię oleckiej szkoły.

Szkoła muzyczna w Olecku otrzymała do dyspozycji wyremontowany budynek przy ul. 1 Maja, w którym mieści się do dnia dzisiejszego. Ponieważ z biegiem czasu lokum okazało się niewystarczające, na tej samej posesji — w latach 1978—83 — wybudowano nowe skrzydło gmachu, w którym oprócz izb lekcyjnych i biur administracyjnych zostanie także urządzony internat ze stołówką dla młodzieży zamiejscowej. Przy budowie nowych obiektów wiele godzin w czynnie społecznym przepracowali nauczyciele i pracownicy szkoły, uczniowie i ich rodzice.

W latach 1967—1974 ogniskiem a potem szkołą, kierował wspomniany już poprzednio Kazimierz Tauter. Od roku 1974 do chwili obecnej, dyrektorem szkoły jest Tomasz Gawroński. Największym problemem, który powtarza się od lat jest niedobór kadry pedagogicznej. Często zmiana nauczycieli została spowodowana trudną sytuacją mieszkaniową. W okresie istnienia szkoły przewinęło się przez nią ponad 40 pedagogów różnych specjalności. Niektórzy z nich nie przetrzymali — od roku do trzech lat. W bieżącym roku szkolnym liczyła 13 nauczycieli, w tym czterech niepełno zatrudnionych.

Osoby muzyczne uzdolnione pobierają naukę w dziele

dziecięcym (kurs sześcioletni) i młodzieżowym (kurs czteroletni) w sekcjach: fortepianu, akordeonu, skrzypiec, wiolonczeli, fletu, klarnetu, trąbki i saksofonu. W minionym roku szkolnym swoje umiejętności doskonaliło tutaj 115 uczniów. Wychowankowie szkoły w wieku 7—18 lat, rekrutują się w większości z miasta i tylko niewielki procent stanowią dzieci zamiejscowe.

W latach 1971—1983 szkołę opuściło 71 absolwentów. Szóstka rozpoczęła naukę w średniej szkole muzycznej, zaś jedna osoba w wyższej. Plebiscytem uczniów dzieło młodzieżowego podjęto naukę w szkołach II stopnia. Są to uczniowie klas instrumentalnych dętych (dęciaków) i blaszanych (oraz wiolonczeli).

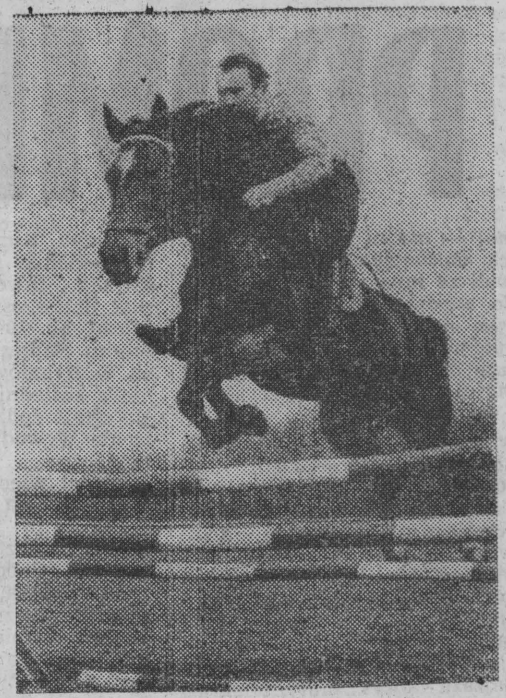
Lokalne centrum muzyczne prowadzi nie tylko działalność dydaktyczną, lecz także bierze czynny udział w upowszechnianiu muzyki w mieście i okolicy. Młodzi muzycy wstępowały niezliczoną ilość razy na koncertach w szkołach ogólnokształcących, zakładach pracy i ośrodkach kulturalno-oświatowych.

Szkoła Muzyczna I stopnia w Olecku doczekała się już trzech wychowanków, którzy po ukończeniu nauki w szkołach II stopnia powrócili do miejsc, gdzie stawali pierwsi kroki muzyczne. Zdobyli wiedzę i umiejętności przekazują teraz następnemu pokoleniu młodzieży.

O dobrej pracy szkoły świadczą zdobyte w przeszłości nagrody, wyróżnienia i dyplomy. Uczniowie Ireneusz Grabek, Ewa Opasek i Maria Paolorko — trio klarinetowe, brały udział w Wojewódzkim Przeglądzie Dorobku Szkół i Ognisk Muzycznych w Elku (rok 1978). W Ogólnopolskim Konkursie Młodego Muzyka, który odbył się w 1974 roku w Szczecinku wystąpili: Jerzy Reklef (akordeon) i Janusz Zukowski (klarnet), natomiast w cztery lata później w tym samym konkursie startowali: Maria Paolorko (klarnet) i Robert Gryga (róg). W r. 1981 Dariusz Josiewicz (akordeon) uczestniczył w rejonowych eliminacjach do Ogólnopolskiego Konkursu Akordeonowego w Elku.

Doskonałą reklamą, werbującą nowych kandydatów jest także wartościowa muzyka rozpowszechniana przez pedagogów i uczniów szkoły muzycznej na terenie innych szkół oraz w zakładach pracy.

TADEUSZ TURKOWSKI



Jeździecki — „elitarny”

O klubach jeździeckich bardzo często mówi się, że są elitarnie. Czy Studencki Klub Jeździecki to Białymstoku, którego od wielu lat jest pan prezesem — również jest elitarny? — Moim zdaniem — mówi mgr BOGDAN PIENIĄŻEK — elitarności — jeżeli w ogóle można o takiej mówić — polega na tym, że o członkostwo np. w naszym klubie trzeba bardzo długo zabiegać ciężką i żmudną pracą. W ten sposób tworzy się rzeczywistość elita ludzi, których miłość do koni powstawała przy ciągłym obcowaniu z nimi, przy czyszczeniu stajni z obornika, przy karmieniu, pojeniu i pielęgnacji koni. W tej „elitarności” nie ma niczego: profesor, student, aktor, księgowy i robotnik, bowiem klub ma otwarte drzwi dla wszystkich chętnych.

Studencki Klub Jeździecki nie jest bogaty, stąd nieodpłatna praca jego członków daje gwarancję istnienia i szansę przetrwania klubu, nie mówiąc już o korzyściach, jakie przynosi wychowanie człowieka przez pracę. Wszystkie pieniądze jakie dysponuje klub, użytkowane są na utrzymanie 12 koni jeździeckich. Pieniądze pochodzą zarówno ze składek członkowskich, z niewielkich dotacji z usług dla ludności (przejażdżki powozami, kuligi) jak również ze sprzedaży nawozu końskiego dla hodowców pszczynek i dla działkowców. Klub świadczy również usługi w

zakresie organizowania zakładom pracy mającej, odpoczynku przy ognisku w plenerze, zimną kuligi itp. Zarządzą się również zapadki angażowania klubowych zaprzęgów do kręcenia filmów.

Podstawową działalnością klubu jest nauka jazdy konnej szerokiej rzeszy społeczeństwa. Najcenniejszym materiałem dla klubu jest młodzież szkolna, która garnie się do jeździectwa. Niestety, ta znakomita forma wychowania młodzieży przez sport i pracę, niestety jest dość rzadką, na zakup której klub nie może sobie pozwolić wyłącznie z własnych środków. Limituje również koszt szkolenia, na które młodzi ludzie nie zawsze mają skąd wziąć. Jak dotychczas, żadna instytucja nie wyrażała ani jednej złotówki na szkolenie młodzieży w naszym klubie.

Mecenasem klubu — takim z sercem i gestem — jest zarządca dyrekcji PGR-u Ignacy, gdzie mieści się siedziba klubu, stajnie i hipodrom. Bez opieki i życzliwości PGR-u klub właściwie nie miałby szans istnienia. Rocznie pierwsze ostrogi jeździeckie zdobywa 300 osób, co oznacza, że miłość do koni w Polsce nie maleje.

Tekst i fot. R. SIENKO — CAF

Amatorski ruch teatralny Z bliźnim się zabliznić

Afiszę rozlepione w mieście i anonsy w prasie zapowiedziały premierę sztuki opartej na tekstach Edwarda Stachury pt. „TRZEBA BYĆ JAK SŁONCE”. W klubie „Millennium” przy ul. Mazowieckiej w Białymstoku zebrano się niewielka grupa osób — jednych zwiabiło nazwisko Sieda, innych, chęć uczestniczenia w debiucie nikomu nieznanego amatorskiego zespołu teatralnego „Rapsod”.

Grupa powstała nie tak dawno przy Spółdzielni Nieświadomych w Białymstoku, z inicjatywą kilku młodych ludzi. Obecnie skupia kilkanaście osób — średnia wieku 22 lata. Oplekanką zespołu jest Antonina Sokółowska, do niedawna znana jako instruktorka Teatru Rozrywki „Klasy”.

Członkowie „Rapsodu” spotykają się w klubie „Millennium” lub w niewielkim pokoiku na Lubienieckiego, w siedzibie „Klasy”.

W ciągu kilku miesięcy powstał spektakl o ludzkim cierpieniu na „teknosie” — wrota” do nieustannym poszukiwaniu drugiego człowieka (bo tylko „z bliźnim się może zabliznić”), wzmocnieniu się poprzez jego obecność, o docieraniu do człowieka w sobie.

Sztuka wyreżyserowana przez Antoninę Sokółowską, w opracowaniu plastycznym — bardzo w nastroju spektaklu — Andrzej Dworakowski, jest trochę z Saint-Exupéryego i przede wszystkim, mam chwilowymi złudzeniami bliskości drugiego człowieka i chociaż bardzo się stara, nie brmi optymistycznie — jest zbyt silnie nasłonięta gorzką świadomością tego, jak „bardzo” dokładnie jesteśmy rozproszeni”.

Próbą w sali widowiskowej klubu „Millennium”. Najpierw krótka rozgrzewka — ćwiczenia artykulacyjne i ruchowe. Dobro potem wchodzi tekst, praca nad ruchem, gestem, odpowiednim oświetleniem.

Reżyser przy reżyserze: — Uwaga! Ujęcie 828. Klasy! Idźcie do słońca. Komu będzie najłatwiej wziąć Ewę? Tak jest dobrze. Jak się odwrócić, to ją od razu zagarnij. Ruszamy. Tak trzymać... Po skończonej próbie rozmowa z członkami zespołu. Ewa: — W szkole dla nieświadomych w Bydgoszczy recytowałam, ale dopiero tutaj zetknęłam się z teatrem. W spółdzielni nie czuję się najlepiej. Zawsze szukałam miejsca, gdzie mogłabym zrealizować swoje zainteresowania. Nie mogę być autonomicznym i pracować w czasie prób odpoczywam.

Jola: — Zawsze brakowało mi wiary w siebie. Dopiero tutaj mogłam się sprawdzić i wierzyłam, że jednak coś potrafię. Lepiej poznałam siebie i zbliżyłam się z innymi ludźmi.

Jerzy: — Znalazłem się w zespole w momencie, kiedy odebrano mi coś, co było dla mnie bardzo ważne. Spodobało mi się i postanowiłem, że zostanie, aż z tego wyrosne. Na co dzień bardzo trudno jest być sobą, a tutaj czuję, że jestem. To dla mnie jeszcze jedna szkoła życia.

Głos z boku: — W pracy masz lepszą... Glienek: — Trajektuję „Rapsod” jak piękną przegrodę w życiu. Obecność na próbach daje mi poczucie autentycznej bliskości drugiego człowieka, a to podbudowuje.

Teatr od lat wielu dziejący się wokół Antoniny Sokółowskiej jest teatrem ludzi o określonych predyspozycjach — mniej może aktorskich, a bardziej charakterologicznych. Przyciąga i zatrzymuje praktykujących i potencjalnych „odmieńców”, osoby ze skłonnością do penetrowania własnego i cudzego wnętrza. Wyzwala i chroni wrażliwość. Jest miejscem umacniania się we własnej inności.

„Rapsod” powstał w takim samym stopniu (a może w tej chwili nawet trochę większym) z osobowości instruktorki, co i członków grupy — kilkunastu młodych osób, poszukujących drogi do przycięcia izolacji i osamotnienia, do wypowiedzenia siebie poprzez słowo postykacie, przełożone na język własnej osobowości.

Na ocenę „Rapsodu” jeszcze w czasie. Dlatego zamynam oczywiście i uszy na nadmierne „kuby podkuszona przez nazwę rapsodyczną wykonania, gubienie się debiutantów w emocjach i intonacjach. Zapewniając, że to, co dzieje się w czasie spektaklu „Trzeba być jak słońce” warto „wpaść” i obejrzeć, bo przejmujący tekst, trafiona oprawa plastyczna, obdarzeni wrażliwością, wystronnym „widzeniem wewnętrznym” wykonawcy.

OLGA PACEWICZ

Ciekawostki kulturalne

SOFOKLES w CAMBRIDGE
Na Uniwersytecie w Cambridge obchodzone 100 rocznicę rozpoczęcia na miejscowej scenie cyklu przedstawień tragedii greckich w ich oryginalnym języku. W tym roku wystawiono „Trachinki” Sofoklesa, sztukę uważaną za najmniej znaną spośród 7 zachowanych jego tragedii. Aktorami występującymi w przedstawieniach, a także chórzystami i muzykami są zazwyczaj studenci tej uczelni. Komitet Sztuk Antycznych powstał w Cambridge w 1882 roku, zaś inscenizacje utworów Sofoklesa odbywają się co 3 lata, poza okresami dwóch wojen światowych. (PAP)

CZY NALEŻY PARODIOWAĆ HEMINGWAYA?
Już po raz szósty odbył się w Los Angeles konkurs dla młodych pisarzy, którego warunkiem jest napisanie kilku początkowych stron powieści lub opowiadania w paradyjno-żartobliwym stylu nawiązującym do twórczości Ernesta Hemingwaya. Nie wdając

się w ocenę celowości uczczenia w ten sposób autora „Pożegnania z bronią”, stwierdzić należy, że konkurs co roku przynosi obfity plon. Tegoroczna laureatka została 30-letnia Linda Lidiger, która oświadczyła, że tym chętniej wzięła udział w konkursie, ponieważ jej ulubionym autorem jest... Francis Scott Fitzgerald... (PAP)

MUZEUW FALATA
Młodzi malarstwa liczenie odwiedzają muzeum Juliana Falata, w Bystrze k/Bielska-Białej. Były rektor krakowskiej akademii, w latach dwudziestych mieszkał w Bystrze, poświęcając swoją twórczość ludziom tej ziemi i malowniczemu krajobrazowi Beskidu Śląskiego i Żywieckiego. Odnowiona ekspozycja obejmuje liczne pamiątki związane z życiem i pracą Juliana Falata, głównie prace olejne i akwarele, m.in. jego autoportret i sceny z polowów w Beskidach. (PAP)

WSPÓŁCZESNA MUZYKA KAMERALNA NA ESTRADZIE
W Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego w Katowicach powstał nowy zespół kameralny, w którego skład weszli studenci wydziału instrumentalnego tej uczelni. Obecnie przygotowują się repertuar, który obejmować będzie wyłącznie utwory muzyki XX wieku. Współczesna kameralistyka nie jest zbyt często wykonywana na naszych estradach, dlatego też młody zespół postanowił skoncentrować swoją działalność artystyczną właśnie na muzyce naszego stulecia. Kierownictwo nad nim sprawuje pianista i kompozytor Eugeniusz Knanik. (PAP)

BEZROBOTNY JACK LEMMON
Jeden z najsłynniejszych amerykańskich aktorów. Laureat nagród „Oscara” Jack Lemmon nie otrzymał w ciągu ostatniego półtora roku ani jednej roli filmowej. Zdarzeniem znawców stosunków w Hollywood, jest to spowodowane jego udziałem w filmie „Missing”, który bez osłonek ukazuje współudział czynników oficjalnych USA w wojnowym puczu w Chile, dokonanym pod przywództwem gen. Augusto Pinocheta. (PAP)

ANIELA LABANOW



Beskidzkie rzeźby na statkach PZM

Beskidzkie rzeźby zdobia wnętrza statków Polskiej Żeglugi Morskiej. Wykonał je artysta rzeźbiarz Stanisław Bojko z Bielska-Białej, nawigujący do folkloru beskidzkiego oraz motywów starożytnych i górskich. Najlepiej rzeźbił Stanisław Bojko, znajdując się na statkach „Bielsko”, „Cieszyn” i „Powstańca Śląski”. Szczególnie ciekawa jest rzeźba „Zbójnika” zdobiosa salon kapitański. „Powstańca Śląskiego”. Bojko wykonał ją z dwumetrowego pnia beskidzkiego świerka. (PAP)

Cyganie na estradzie

Przy Stowarzyszeniu Kulturalno-Oświatowym Cyganów w Plocku działa zespół „Romen”. Większość członków zespołu pochodzi z Plocka, choć należą też do niego mieszkający w Polsce Cyganie z innych krajów. W zespole występuje Sławomir Czuro — brat znanego piosenkarza cygańskiego Michała Burano. W ubiegłym roku „Romen” zajął miejsce na przeglądzie profesjonalnych zespołów cygańskich w Warszawie. W tym roku oklaskiwała go publiczność skandynawska i francuska. (PAP)

Na terenie Gdańska i Sopotu ekipy filmowe TV kreują filmy fabularny „SZKATUŁKA Z HONGKONGU” Jest to opowieść o walce z przemytem narkotyków — kokainy w Gdańsku pod koniec lat dwudziestych. Scenariusz napisał SŁAWOMIR SIERADZKI i PIOTR PIETER, który także film reżyseruje. Główną rolę kreuje PIOTR FRONCZEWSKI, a obok niego występuje PIOTR GARLICKI, STEFAN FRIEDMANN i inni. Operatorem jest GRZEGORZ KEDZERSKI, kierownikiem produkcji MICHAŁ ZABŁOCKI. NA ZDJĘCIU: podczas realizacji nowego filmu TV pt. „SZKATUŁKA Z HONGKONGU”. CAF — JANUSZ UKLEJEWSKI

„Arabeska” tańczy 15 lat

Już 15 lat tańczy na polskich i zagranicznych estradach słupska grupa baletowa „Arabeska” składająca się z trzydziestu dziewcząt. Ich występy stanowią wzbogacenie wiatu widowisk estradowych. Ostatnim np. ogólnokrajowym „Arabeski” w artystycznym programie telewizyjnym. W ciągu 15 lat zespół wystąpił w ponad 700 programach. Spółrodzi 50 należących w tym okresie do zespołu dziewcząt, wiele pracuje dziś w domach i ośrodkach kultury w charakterze instruktorek tańca i choreografi. (PAP)

Komiksy po łacinie

W Rzymie pojawiła się nowość, która szybko zyskała wielu zwolenników. Jest to komiks opiewający przyrodę Północnej, wspaniałych starych detektywów i innych postaci, lecz w odróżnieniu od innych tego typu wydawnictw — z tekstami po łacinie, 48-tytylny nakład „Juvenisa” — jak nazywano ów estetyczny komiks — rozszerzył się bykwienskie stało większość jego nabywców stanowili uczniowie. (PAP)

Zapisane w Wietnamie

Puzderka i pudeleczka, flakoniki i wazon, tace i figurki. Bransoletki, klamry do włosów i obrączki. Długie, podłużne stoły na niskich nóżkach i staromodne komody. Zgrabne taboretki, trzy do kompletu, jeden można wstawić pod drugi. Parawanik-cacko i parawan mogący zasłonić znaczną część solidnego pomieszczenia. Wreszcie obrazy najrozmaitszych kształtów i wielkości. A wszystko to pięknie zdobione i pokryte laką. Spółdzielni Son Mai „Lamson” w Mieście Ho Szj Mina produkuje wyroby pokryte laką. Zajmują ładny architektonicznie, czteropiętrowy budynek z tarasami, ale jak na nasze wyobrażenie — zupełnie nie wykończony. Są tu tylko otynkowane ściany z otworami okiennymi i drzwiowymi. Drzwi, jako takich, też jest mało: przy wejściu i między piętrami. Ale nie ma się czemu dziwić. W wietnamskim upale potrzebne są

pomieszczenia chroniące przed słońcem i deszczem, a także dające przewiew. Budynek stoi w głębi ulicy, ma długie wybetonowane podwórko-studnię, częściowo zadaszone, które wykorzystywane jest jako miejsce prac wykończeniowych i pomocniczych.

Technologia produkcji jest tak stara jak wyroby z laki: ręczna, niemalże prymitywna. Najpierw przygotowuje się przedmiot z drewna, który ma być zdobiony i pokryty laką, a więc lak stou, wieczo od puzderka czy prosto odpowiednią deskę na obraz. Drewno wygląda się, „szpachluje”, kilka razy pokrywa lakierem, pokrywa tleniną, znowu lakieruje i polewuje, polewuje do idealnej gładkości. Potem następuje najważniejsza część: zdobienie. Wykonuje się to w różny sposób: maluje, inkrustuje drewno, masę, nakładając przedmiotowi dekoracyjne ozdoby z skorupkami od jeł, albo graweruje. Widzia-

Z laki i marmuru

Była to robota iście benedyktyńska, trwała trzeci miesiąc, ale zbliżała się ku końcowi. Można było już podziwiać efekty i sztukę wykonawcy. Gdy ten definitywnie zakończył dzieło, pokryje się je kilkoma warstwami żywic, susząc za każdym razem 3—5 dni na słońcu. Podobnie postępuje się z częściami niezdobionymi przedmiotami dekoracyjnymi z korkami od stółków, denkami wazonów itp.

Ostateczna obróbka to mycie i polerowanie wyrobu, przy czym robi się to przy pomocy różnego rodzaju naturalnych substancji, jak kawałki mineralów, drewno odpowiednio młotzone itp.

W magazynie wyrobów gotowych można zobaczyć jak zrobił się wyroby z laki. Na przedmiotach użytkowych dominują motywy roślinne, charakterystyczne dla Wietnamu: palma kokosowa, bambus, kwiat broszwin symbolizujący wiosnę rok. Są także ryby, ptaki. Większe przedmioty wypełniała krajoznawstwo, architektura czy sceny z życia, często np. sadzenie ryżu. Na obrazach jest wszystko: Giocinda, Matka Boska Ostrobramska i portret blondynki, malarstwo tradycyjne

KOESPONDENCJA WŁASNA

Wytwórci takich jak „Lamson” jest więcej, może tylko nie wszystkie są tak renomowane. Od obnośnych handlarzy można także kupić wyroby z laki ale bardzo tandetnie wykonane. Sztuka produkcji laki przetrwała w Chinach, gdzie znana już była od I tysiąclecia — przed naszą erą. Określenie „laka” używane jest zresztą zarówno do żywic otrzymywanej z drzewa lakowego gatunku sumak, rosnącego na Wschodzie, od Indii po Japonię, jak i przedmiotów nią pokryte. Laka — żywica służyła szezai niegdyś także do nasączenia ńia odzieży, aby ta chronila orzed wilgocią. Sztuka produkcji laki przetrwała w Chinach, gdzie znana już była od I tysiąclecia — przed naszą erą. Określenie „laka” używane jest zresztą zarówno do żywic otrzymywanej z drzewa lakowego gatunku sumak, rosnącego na Wschodzie, od Indii po Japonię, jak i przedmiotów nią pokryte. Laka — żywica służyła szezai niegdyś także do nasączenia ńia odzieży, aby ta chronila orzed wilgocią.

